

XII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2014
Magdalena Knedler - kategoria dorośli - proza - II nagroda

Martwe kamienice

Lucia nie była idealnie piękna. Ładna i ciekawa, to na pewno, ale nie piękna. Jej największy atut stanowiły włosy – długie, gęste i idealnie proste, w kolorze pszenno-żytnim. Przypominały mi żniwa, w których jako dziecko czynnie brałem udział. W naszej wiosce, porzuconej gdzieś w środku Warmii, z dala od dużych miast, każdy brał udział w żniwach. Zwłaszcza wtedy, przed przeszło trzydziestoma laty.

Włosy Lucii były zatem pszenno-żytnie, długie i gęste. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, stała na moście Rialto i jadła lody. „Fragola” powiedziała i uśmiechnęła się. Fragola... Nie powinna powiedzieć „fragola”, powinna oburzyć się za to, że tak natarczywie jej się przyglądałem. Była niska i drobna, dość blada, o mocno piegowanej twarzy. Kiedy tkwiła tam, na Ponte di Rialto, pomyślałem, że gdyby przyszło jej żyć u schyłku dziewiętnastego wieku, stałaby się niechybnie muzą secesyjnych malarzy, gdyby zaś urodziła się jeszcze wcześniej, z pewnością pokochaliby Lucię prerafaelici. Słońce zachodziło nad Canal Grande, rzucając na zielonkawę wody złociste refleksy, a czarne dzioby smukłych gondol kreśliły wdzięczne spirale wśród delikatnych fal. „Fragola”, powiedziała znowu Lucia i po raz kolejny się uśmiechnęła. Skierowałem się do najbliższej gelaterii i poprosiłem o jedną gałkę. „Fragola”. Sprzedawczyni kiwnęła głową i podała mi różową kulkę w chrupiącym rożku. Truskawkowe... Tak, oczywiście... Wciąż pamiętam ten smak. I te kolory. Wszystkie, poczynając od pszenno-żytnich włosów Lucii, na zielonych wodach Canal Grande skończywszy. Jeden z przybrzeżnych pałaców lśnił bielą, inny zachwycał cegląstą, nieco już zatartą czerwienią. Jakiś gondolier zanucił rzewną barkarolę. Pomyślałem, że znalazłem się w raju. A później Lucia opowiedziała mi o martwych kamienicach.

Łódź chwiała się niebezpiecznie na każdym wirażu. Była stara, przeżarta zgnilizną i trzeszczała przy najdrobniejszym nawet ruchu. Lucia wiosłowała sprawnie i lekko, jak gdyby robiła to od dziecka. Wciąż się uśmiechała, a pod nosem nuciała tę samą barkarolę, którą na Canal Grande zaintonował gondolier. Głos miała niski i zachrypnięty, melodię zaś prowadziła inaczej, zrywając z klasyczną konstrukcją i realizując własną wersję kadencji, interwałów i rytmu, w efekcie czego powstała jakość zupełnie nowa. Bluesowa barkarola... A może raczej jazzowa? Po chwili kiwałem już głową, rozkoszując się tym osobliwym, nigdy wcześniej niesłyszczanym brzmieniem. Barkarola Lucii była mniej rzewna niż wersja gondoliera, choć zawierała w sobie całe morze utajonych emocji i pragnień, stanowiła wyzwanie rzucone śmierci, przy jednoczesnej afirmacji świata i apoteozie sił witalnych. Rozumiałem słowa tej pieśni, a jednak to nie one przekazywały treść. Wszystko zawierało się w osobliwej interpretacji Lucii, w zachrypniętych dźwiękach produkowanych przez jej krtań, w odrobinę dekadencym rytmie, w akompaniamencie wiosł, jednostajnie uderzających o taflę wody. Okoliczności również były ważne. Kontekst, odmalowany przez splecione w ciasnym uścisku kamienice – drobniejsze niż te przy Piazza San Marco, niższe i mniej zadbane. Z fasad schodziła dawno już wyblakła farba, tu i ówdzie niebezpiecznie odpadał tynk, a okiennice były szczelnie zamknięte. Kanał stawał się coraz węższy i Lucia musiała sprawnie manipulować wiosłem, by przepłynąć ostatni fragment zielonej wstążki wody. Zrozumiałem, że nikt już tutaj nie mieszka.

– Caseggiati morti – szepnęła Lucia.

Martwe kamienice... W ślad za Lucią wyskoczyłem z łodzi i stanąłem na krzywych stopniach, prowadzących do trzypiętrowego domu. Spojrzałem w głąb kanału na uśpione, pogrążone w błogim niemal spokoju budynki, cicho wyczekujące tego, co nieuniknione. Cieniutki pasek błękitnego nieba pochylał się nad nimi z troską i wysyłał ostatnie promienie majowego

słońca, by choć odrobinę rozgrzać wilgotne, chłodne mury. Nad martwymi kamienicami zmrok zapadał szybciej, a świt przychodził później. Dnie były tu krótkie i przesycone zapachem mokrego drewna.

– Mieszkaś tu? - spytałem.

Skinęła w odpowiedzi głową. Nie musiałem pytać. Od początku wiedziałem, że tutaj właśnie był jej dom.

Obserwowałem Lucię w milczeniu, kiedy przygotowywała penne z wędzonym łososem i sosem pesto. Paplała przy tym wesoło, tłumacząc, że we Włoszech najlepszy makaron można zjeść na północy, najlepszą zaś pizzę – na południu. Kiwałem głową i raz po raz rozglądałem się po wymalowanym na zielono wnętrzu. Pokój był dość wąski i długi, o wysokim suficie i przeszklonym dachu, którego widok bardzo mnie zaskoczył. Lucia dostrzegła moje zdziwienie i wyjaśniła, że weneccjanie często decydują się na podobne rozwiązanie, by wpuścić do mieszkania nieco więcej światła. Śmiała się przy tym i kazała mi wyobrazić sobie, jaki mrok musiał niegdyś panować w pomieszczeniach usytuowanych od strony kanału. Przyznałem dziewczynie rację. Teraz pokoje nie były ciemne – otulała je rdzawa poświata zachodzącego słońca, przepuszczająca każdą barwę przez stylowy filtr sepia. Najbardziej przypadła mi do gustu połączona z kuchnią jadalnia, z okrągłym stolikiem przykrytym czerwonym obrusem. I żółta firanka w wąskim oknie. Na parapecie dumnie pysznił się ujęty w kryształowy wazon soczysty słonecznik. Kamienica Lucii nie była martwa. Tętniła życiem, skrzyła się od kolorów i pulsowała zdrową energią.

– Ile masz lat? - spytałem swoją kanciąstą włoszczyzną, kiedy zasiedliśmy do posiłku.

Lucia uśmiechnęła się tylko i powoli żuła makaron. Nie odpowiedziała. Nie dowiedziałem się, w jakim była wieku, ale domyślałem się, że miała z dziesięć-piętnaście lat mniej niż ja. Wyglądała młodo, dziewczęco i świeżo. Z pewnością nie przekroczyła jeszcze trzydziestego roku życia. Dlaczego mieszkała w martwej kamienicy? Dlaczego mi zaufała? Dlaczego zabrała mnie w to miejsce? I dlaczego... ja zaufałem jej? Do tej pory nie potrafię pojąć, z jakich powodów wsiadłem z Lucią do łodzi i wkroczyłem w ów osobliwy bezczas, w tę przestrzeń, w której nie obowiązywały reguły poddane żelaznej logice. Nie wiem... Nie chcę wiedzieć, nie chcę dociekać. To i tak niczego przecież nie zmieni...

Po kolacji długo siedzieliśmy w milczeniu. Nie była to jednak owa krępująca cisza, która wprawia człowieka w zakłopotanie i nakazuje czym prędzej wymyślić jakikolwiek temat do rozmowy – choćby błaży i pozbawiony znaczenia. Ja i Lucia zwyczajnie cieszyliśmy się swoją obecnością. Nie potrzebowaliśmy podsycać tego kontaktu sztucznym pustosłowiem. W pokoju robiło się coraz bardziej rdzawo, a zachodzące słońce malowało na ścianach oniryczne, skąpane w rudym złocie wizje. Cisza stawała się niemal namacalna. Lucia westchnęła przeciągle i zaczęła opowiadać mi o martwych kamienicach. O ich dawnej świetności i mieszkańcach, którzy na przestrzeni wieków oddychali między tymi ścianami. Stopniowo docierała do mnie osobliwa prawda o „caseggiati morti”. Prawda zawarta w słowach Lucii i przekazywana tak wyraźnie, iż nie sposób było jej nie pojąć. Prawda o tym, że „caseggiati morti” nie są i nigdy nie będą rzeczywiście martwe. Więcej nawet... Że im starsze ściany, tym więcej w nich życia. Życia dawnych pokoleń, minionych wieków, ludzi, którzy między tymi murami płakali, cieszyli się, klócili, krzyczeli, śmiali się, prowadzili negocjacje, jedli i pili wyborne wino... Słyszałem szcęk sztućców, westchnienia kochanków, pieśni śpiewane po kolacji, tupot stóp splecionych w kunsztownym tańcu, widziałem błysk weneckiego szkła z Murano i wielobarwne kłosze kobiecych sukni. Lucia ożywiła dla mnie martwe kamienice – miejsca wciąż na nowo przetwarzające dawne historie i z miłością szepczące imiona swoich bohaterów. Przestrzeń spinającą przeszłość z teraźniejszością, niczym wygięte w łuk mosty Serenissimi zespalały przeciwległe brzegi w jedną integralną całość.

Najbardziej przypadła mi do gustu historia młodej Franceski, córki zamożnego weneckiego kupca, którego rodzina w szesnastym stuleciu zajmowała właśnie obecny dom Lucii. Pewnego dnia Francesca, podczas swojej zwyczajowej przechadzki po dzielnicy Cannaregio, zawędrowała dalej niż zwykle. Nieopodal Fondamenta della Sensa ujrzała młodego mężczyznę, opuszczającego jedną

z kamienic. Człowiek ten przestąpił próg, zawołał coś jeszcze w stronę ciemnego wnętrza, zamknął drzwi i ruszył przed siebie. Odprowadzała go czwórka pokrzykujących dzieci. Francesca przystanęła i z uwagą przyglądała się tej malowniczej scenie. Zorientowała się, że mężczyzna musiał być medykiem, a rozkrzyczana gromadka – potomstwem chorej kobiety, którą dopiero co odwiedził. Malcy mówili jeden przez drugiego i wciskali medykowi do rąk świeące kamyki, kawałki chleba i skrawki koronkowych tkanin. Mężczyzna przystanął i głośno się roześmiał. Oddał dzieciom ich „skarby” i nakazał wracać do domu, do matki. Gromadka posłusznie oddaliła się w kierunku kamieniczki i ciasno zbiła w prog.

- Dziękujemy! Dziękujemy! - wołali jeszcze za młodym człowiekiem, który wolnym krokiem szedł w kierunku Fundamenta degli Ormesini.

Francesca odczekała chwilę, po czym ruszyła za mężczyzną. A później ujrzała, jak wkłada na głowę czapkę oznakowaną w specyficzny sposób i zmierza w stronę bramy wodnej... Francesca krzyknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach. Młody medyk wkroczył na most prowadzący do Ghetta i zniknął jej z oczu. Od tej pory dziewczyna myślała tylko o nim. Spodobał się Francesce mężczyzna, któremu dzieci z taką gorliwością składały podziękowania za wyleczenie ich matki. Częściej niż zwykle zapuszczała się teraz w okolice Fundamenta della Sensa i Fundamenta degli Ormesini, a później także i w pobliże mostów prowadzących do Ghetta. I wreszcie stało się. Medyk zauważył piękną Francescę. Młodzi zawarli znajomość i wkrótce zakochali się w sobie, choć wiedzieli, że ta miłość przyniesie im jedynie smutek i rozczarowanie. Giandomenico był przecież Żydem z Ghetta, Francesca zaś – córką zamożnego kupca z Rialto.

Spotykali się w tajemnicy przez kolejny rok, skrywając swój sekret przed wszystkimi – zwłaszcza przed najbliższą rodziną. Pewnego dnia Francesca nie zjawiła się w umówionym miejscu. Giandomenico odchodził od zmysłów. Podobna sytuacja nigdy się wcześniej nie wydarzyła. Mężczyzna domyślał się, że stało się coś złego. Być może ich sekret wyszedł na jaw? Być może ojciec Franceski dowiedział się o wszystkim i zamknął córkę w domu albo – co gorsza – odesłał ją z Serenissimy? Giandomenico na wszelkie dostępne mu sposoby usiłował poznać prawdę, musiał jednak działać ostrożnie, by nie narazić reputacji dziewczyny na szwank. Kilka razy zapuścił się nawet w rejony Rialto. Krążył wokół domu Franceski jak cień. Wkrótce sam stał się cieniem. Nadal wprowadził wykonywał swoje obowiązki, odwiedzał pacjentów, świętował szabas, opiekował się młodszym rodzeństwem i mocno już posuniętymi w latach rodzicami, mimo to coś w nim pękło. Nie był już tym samym Giandomenico – przeistoczył się w człowieka pogrążonego w żalu i ogarniętego obsesją. Myśl o Francesce, o tym, jaki los przypadł jej w udziale, nie dawała mężczyźnie spokoju.

Pewnego chłodnego jesiennego poranka Giandomenico zbudził się wcześniej niż zwykle. Z dołu docierały do niego strzępy nerwowej wymiany zdań. Bramy Ghetta nie zostały jeszcze tego dnia otwarte, a jednak w ich domu ktoś się zjawił. Ktoś z zewnątrz. Obcy. Giandomenico rozpoznał dialekt kupiecki z okolic Rialto. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Pospiesznie narzucił na siebie ubranie i zbiegł piętro niżej. Na spotkanie wyszedł mu mężczyzna w średnim wieku, o długich szpakowatych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Zmierzył młodego medyka od stóp do głów i skinął głową.

- Weź płaszcz i chodź ze mną! Pospiesz się! Ruszajmy! - krzyknął.

Giandomenico posłuchał. Narzucił na plecy płaszcz i wsiadł z mężczyzną do łodzi. Chwilę później wiedział już, jaki los przypadł w udziale Francesce. Mężczyzna o długich szpakowatych włosach przywiózł go wprost do niej. W sypialni dziewczyny okiennice były szczelnie zamknięte, a na stole paliło się kilka krótkich już świec. Francesca leżała w łóżku, przeraźliwie blada i wychudzona. Oddychała z trudem i raz po raz ciężko przełykała ślinę.

- Giandomenico... - wyszeptła i wyciągnęła do niego rękę. Po policzkach młodego medyka popłynęły łzy. Wiedział, że przybył za późno.
- Niech ją pan ratuje! - odezwał się ojciec Franceski. – Ona... Niech..ją..pan..ratuje...! - wykrztusił jeszcze i również zaniósł się łkaniem.

Giandomenico podjął desperacką próbę ocalenia Franceski, wiedział jednak, że dla niej nie było już wybawienia. Choroba trzymała dziewczynę w swoich sztywnych szponach i nie zamierzała

nigdy uwolnić. Francesca odeszła kilka dni później. Przez cały czas trzymała Giandomenica za rękę, a kiedy wybiła ostatnia godzina, z wdzięcznością spojrzała na swojego ojca.

- Dobrze... Dobrze że pan przyszedł. Dobrze, że pan tu był – szepnął ojciec Franceski i obrzucił Giandomenica smutnym spojrzeniem, po czym mocno uściśnął jego dłoń. Tego dnia zawiązała się między mężczyznami dziwna, podszyta żalem i trudna przyjaźń, która połączyła ich ze sobą już na zawsze.

Kiedy Lucia skończyła swoją opowieść, na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Za oknem przyjemnie szumiały wody kanału, a przez oszklony dach widać było wygięty w łuk srebrzysty sierp księżyca. Mój wzrok padł na stojące pod ścianą pianino i spytałem Lucię, czy potrafi na nim grać. Podniosła się z fotela i zasiadła do instrumentu. Po chwili spod jej palców popłynęły pierwsze dźwięki. Lucia uniosła głowę i spojrzała w niebo. Sądziłem, że zainspiruje się widokiem i zagra słynną Beethovenowską *Sonatę księżycową*, ona jednak uderzyła energicznie w klawisze i zaintonowała *Sonatę C-Dur* Mozarta. Jej długie palce tańczyły szaleńczo po dźwięcznym, czarno-białym parkiecie, sprawnie poruszając się po mistrzowsko wykreowanej melodycznej sinusoidzie. Faktycznie, energia i tempo utworu Mozarta, ta osobliwa eksplozja sił witalnych podszyta nostalgiczną refleksyjną nutą, bardziej pasowały do Lucii niż zaduma, nerw i pesymizm *Sonaty księżycowej*. Słuchałem oczarowany. Lucia wybiła ostatni takt i oderwała palce od klawiatury. Dyszała ciężko, a na jej policzki wstąpiły rumieńce. Dopiero po chwili zrozumiałem, że była bardzo zmęczona. Na czole dziewczyny zalśniły krople potu, a oddech stał się dziwnie świszczący. Lucia zerwała się z miejsca i wybiegła z pokoju. Wyraźnie słyszałem jej rwący, rozdzierający kaszel...

Wróciła po kilku minutach, niosąc dwie weneckie maski karnawałowe. Jedną z nich – maskę eskulapa – nałożyła mi na twarz.

- Chodź, pójdziemy obejrzyć Tycjana! - zawołała i pociągnęła mnie za rękę.

Poszedłem... W masce eskulapa na twarzy. Nie usiłowałem nawet protestować i tłumaczyć, że przecież karnawał zakończył się wiele miesięcy temu...

Serenissime spowijał deszcz świateł. Szliśmy w milczeniu, skrywając twarze za misternie wykonanymi maskami i kierując się w stronę Akademii. Mimo iż nie był to w ogóle czas karnawału, nikt nie dziwił się specjalnie naszej prywatnej maskaradzie. Znajdowaliśmy się przecież w mieście na wodzie, poruszaliśmy wśród architektonicznych cudów, których fundamenty znikwały w ciemnozielonych odmętach. Tutaj nic nie było takie, jak gdzie indziej. Wenecja od zawsze żyła własnym życiem i jej mieszkańcy hołdowali podobnej zasadzie.

Nasze maski nie wzbudziły zatem poruszenia. Wiedziałem już, dokąd prowadziła mnie Lucia. Kiedy minęliśmy Akademię i wkroczyliśmy na most, w oddali zalśniła biała kopuła kościoła Santa Maria della Salute. Tej samej barokowej świątyni, o której Henry James pisał, że przypomina „wielką damę, stojącą na progu swojego salonu, z kopułami i wolutami, przyporami w kształcie muszli ślimaka i rzezbami tworzącymi paradną koronę oraz z szerokimi stopniami rozpostartymi na ziemi niczym tren sukni”. Byłem już w tym kościele nie raz. Widziałem Tycjana. Nie miałem jednak pojęcia, jak Lucia zamierzała dostać się tam w nocy. Postanowiłem o to zapytać i kiedy wreszcie na nią spojrzałem, zorientowałem się, że znowu oddychała z trudem i nerwowo poprawiała maskę, która z pewnością potęgowała duszności. Przystanąłem i chwyciłem dziewczynę za ramiona. Spuściła głowę. Dłonie przyciskała do klatki piersiowej, jak gdyby tym gestem chciała usprawnić pracę mięśni oddechowych, przypomnieć płucom i przeponie, do czego służą. Zastygliśmy w bezruchu, gdzieś w wąskiej uliczce, zagubionej wśród meandrów dzielnicy Dorsoduro. Lucia oderwała wreszcie dłonie od klatki piersiowej i przysiadła na stopniach schodzących do kanału. Nie rozmawialiśmy. Na naszych twarzach wciąż tkwiły maski, choć oboje wiedzieliśmy, że ten spontaniczny karnawał właśnie się zakończył. Dalsze udawanie nie miało sensu. Dopuściłem do siebie wreszcie prawdę o tym, dlaczego Lucia ugotowała dla mnie makaron, dlaczego zagrała *Sonatę C-Dur* Mozarta, dlaczego opowiedziała historię Giandomenica i Franceski, dlaczego wreszcie pokazała mi „caseggiati morti”... Dlaczego mieszkała w martwej kamienicy.

Tamtej nocy nie dotarliśmy do kościoła Santa Maria della Salute. Długo jeszcze siedzieliśmy na schodach prowadzących do wąskiego kanału w urokliwym Dorsoduro. Nie chciałem zadawać Lucii żadnych pytań. Wiedziałem, że gdyby jakiegokolwiek wyjaśnienia miały sens, ona z pewnością by mi o tym powiedziała. Gdyby istniał cień nadziei. Dla niej. Dla mnie. Dla...nas?

Lucia wyprostowała się wreszcie i oznajmiła, że wraca do domu. Ja podniosłem się również. Chciałem jej towarzyszyć. Chciałem wrócić wraz z Lucią do martwych kamienic i po prostu być blisko – sam nie miałem pojęcia, jak długo. Ona jednak pokręciła przecząco głową. Kazała mi zostać. Kazała wrócić do tego, co było przedtem. Przed spotkaniem na Ponte di Rialto, przed pszenno-żytnimi włosami, przed lodami w chrupiącym rożku. Przed tym słowem, od którego wszystko się zaczęło. „Fragola”...

Lucia szła wolno w stronę Akademii. Długo jeszcze widziałem jej drobną sylwetkę, na którą padało sztuczne światło weneckich latarni. Pokastywała cicho i raz po raz przykładła dłonie do klatki piersiowej. Na każdym moście przystawała na chwilę, by popatrzeć na wodę. A później znowu szła. Ruszyłem za Lucią. Trzymałem bezpieczną odległość, jednak ani na chwilę nie spuściłem jej z oka. Wreszcie wsiadła do łodzi i popłynęła do domu, a ja nie miałem pojęcia, co dalej. „Dalej” stało się dla mnie nagle pojęciem wściekle abstrakcyjnym, niemal absurdalnym i wymykającym się wszelkim metodom poznawczym. Czy powinienem rzeczywiście wrócić do tego, co było przedtem? A może należało zostać? Być może należało z obłędem w oczach krążyć po okolicy niczym ów nieszczęsny Giandomenico wyglądający swojej Franceski? Wtedy, tamtej nocy, stałem na niewielkim mostku i wpatrywałem się w oddaloną o kilkadziesiąt metrów łódkę, niedbale przywiązaną do przeżartego zgnilizną słupa. Widziałem światło w kuchennym oknie Lucii i cień soczystego słonecznika w kryształowym wazonie. O świcie opuściłem posterunek. Udałem się na San Marco. Wsiadłem do vaporetto i odpłynąłem z Serenissimy. Wróciłem do domu. Co innego mogłem zrobić? Jakie miałem prawo do tego, by zostać? Niczego przecież o niej nie wiedziałem. Nie znaliśmy się. W ogóle się nie znaliśmy.

Myślałem, że po spotkaniu z Lucią nigdy więcej nie zjawię się w Wenecji. Że będzie mnie to kosztowało zbyt wiele przykrych emocji, że wspomnienia na zawsze już odbiorą przyjemność, z jaką wcześniej niejednokrotnie przybijałem do tych brzegów. Myliłem się. Ostatecznie spędziłem z Lucią tylko jeden wspólny wieczór... Wieczór wypełniony muzyką, opowieściami, zapachem wody i ciszą. Wieczór, który w mojej wyobraźni rozrastał się do niebotycznych rozmiarów, nabrzmiewał znaczeniem, wciąż i wciąż poddawał się reinterpretacji. Wieczór tak ważny, a jednak... Tylko jeden. Czym jest jeden wieczór w skali całego życia? Nawet taki, którego wspomnienie tkwi w umyśle niczym uwierający cierń? Cierń wrzynający się w tkankę minionych doświadczeń bezboleśnie, ale zauważalnie, ze wszech miar namacalnie... Żyłem nadal, normalnie, prozaicznie i tylko jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Świadomość, że tak naprawdę nie dowiedziałem się niczego o Lucii. Nie odkryłem, kim była, jakie miała słabości, czy sładziła kawę i kto ją nauczył wiosłować. Miałem tylko to jedno wspomnienie. I nieskończone możliwości jego interpretacji.

Po kilku latach wróciłem do Serenissimy. Udałem się na Rialto, a później zapuściłem dalej. Przeplłynąłem wąski kanał wciąż tkwiący w ciasnym uścisku odrapanych kamienic. Dom Lucii był teraz równie cichy jak pozostałe. Okiennice szczelnie zamknięto, a słupek, do którego dziewczyna przywiązywała łódkę, osunął się całkowicie w zieloną falbankę wody. Podpłynąłem bliżej. Na progu położyłem rozłożysty słonecznik, taki sam, jak ten, który Lucia trzymała na kuchennym parapecie. Z którego uczyniła artefakt. Spojrzałem wgląd kanału i pomyślałem o innych artefaktach, wcześniej związanych z tym miejscem. Pomyślałem o ludziach dawniej władających tą przestrzenią. Pomyślałem o Lucii i „caseggiati morti”. O martwych kamienicach do ostatniego kamyka przesiąkniętych życiem.